

# ROZMAITOŚCI.



Dnia 21 listopada,

N<sup>er</sup> 47.

roku 1846.

## Nocna przygoda w Rzymie.

Razu jednego, podczas mojej bytności w Rzymie r. 1830, wstąpiłem do kościoła Santa Maria Maggiore, gdy tam właśnie uroczystość wniebowzięcia Najświętszej Panny obchodzono.

Było przepyszny widok dla mnie, który nie byłem jeszcze przyzwyczajonym do blasku religijnych obrzędów rzymsko-katolickiego kościoła; i nie mogłem się też dość napatrzeć tej całej świetności, z jaką duchowienstwo łacińskie przy tak wielkiem święcie występuje — tym wszystkim dostojnikom kościoła, dopełniającym w swoich charakterystycznych strojach świętego obowiązku; temu półkołu gwardzystów papieżkich, czerwieniejących się w swoim purpurowym mundurze, i odpychających natłok popółstwa; wreszcie temu nieprzejrzanemu mnóstwu pobożnego ludu wszelkiego stanu i wieku. A uroczyste wrażenie tego malowniczego widowiska wzmagalo się tém bardziej, im spanialsze były ramy, które je jakby żywy, olbrzymi obraz obejmowały. Nad nami jaśniała pozłocista kopuła, na przodzie wznosił się suty baldachin, spoczywający na dwóch porfirowych kolumnach; po obu bokach kościoła otwierały się bogato ozdobione kaplice, należące do możnych rodzin szlacheckich, z których każda marmurowym grobowcem pokrewnego sobie papieża, poszczycić się mogła. Papieżka kapela wtórzyła rozgłośnym śpiewom, stosownym do uroczystości, a niezliczone kadzielnice rozwięwały woń po świątyni.

Ta woń, ta muzyka, ten cały czarowny widok, wywarły tak mocne na mnie wrażenie, iż zatopiłem się w pewien rodzaj entuzyjastycznego rozmarzenia, w którym mi się zdawało, jakoby przeszedł na wiarę rzymską, i podziwiał jego mistyczne obrzędy. Oglądając się w koło siebie, widziałem wszędzie same klęczące postacie, w najgorętsze pogrążone nabożeństwo. Podobnie jak i gdzieindziej, nie było to uczucie wyłącznie tu panującym, a niższe stany okazywały daleko więcej gorliwości religijnej niż wyższe, w których gronie postrzegałem niejedno wcale ziemskim ogniem połyskujące oko, i niejedno łono, raczej światowem niż religijnem bijące uczuciem. Atoli w ogólności śmiałybym sądzić, iż nigdy pod naszym chłodniejszym niebem, w ciągu naszego wytrawniejszego nabożeństwa, nie widziałem tak zupełnego religijnego wyłania się, jakie tu w oczy mię uderzyło; i prawie zazdrościłem dziewczęciu obok mnie klęczącemu, które swój żal, a może też i grzechy swoje, w gorących łzach skruchy zmywało.

Takimi zaprzątńiony myślami, miałem wielką przyjemność, wyszukiwać w tłumie pojedyncze grupy i postacie, które już to swoją strzelistą pobożnością, już to właściwym sobie malowniczym strojem, uwagę moję najszczególniej zwracały. I tak między innemi, obaczyłem po lewej ręce ode mnie, grono kalabryjskich gorali, których po ich dzikim, fantastycznym ubiorze, natychmiast poznałem. Każdy z nich był widocznie ceremoniją najgłębiej wzruszony; jeden w drugiego, mieli oczy w ziemię spuszczone, kolana



zgięte, i albo wiszący u szyi krucyfiks mały w ręku ściskali, albo gorliwie paciorki różańca przez palce ronili.

Wpatrując się w tę grupę, ujrzałem przypadkiem człowieka, który dotąd uszedł mojej baczności. Lubo nieco oddalony od owych kalabryjskich gorali, i o marmurową ścianę kościoła oparty, należał on widocznie do tegoż samego grona, a przynajmniej ubiór jego tak wnosić kazał, chociaż rysy twarzy jego były znacznie szlachetniejsze od reszty spółtowarzyszów. Był to stary mężczyzna, mający prawdziwie klasyczną, rzymską fizyjonomię, wysokie, imponujące czoło, śmiały nos orli, wyraz dumy na ustach. Już to nie jedna zima powlokła szronem włos jego, a ta siwizna odbijała dziwnie od czerstwego, rumianego oblicza. Lubo tylko był kmieciem, cała jego majestatyczna postać przejmowała uszanowaniem. Głowę miał w tył przechyloną, przeczco długa, żylasta szyja zupełnie się widzieć dawała. Ramiona zwisały mu bezwładnie, oczy miał zamknięte. Ubiór jego, z najgrubszego wyrobu, składał się z koszuli, kamizelki, płaszcza ze skóry baraniej, i płóciennych, rzemieniem przepasanych spodni.

Im dłużej surowe rysy tego oblicza badałem, tém mocniejszego nabywałem przekonania, iż historyja jego z niezwyčajnymi połączona być musi okolicznościami. Nie dotykał on się wcale krucyfiksu, różaniec wisiał bez użytku u pasa, ani też modlitwy na ustach jego nie było. Twarz miał wzniesioną w niebo, ale oczy zamknięte — nie śmiał ich może otworzyć. Pocóż on tutaj przyszedł, i czemuż się nie modlił. Dla czegoż przybrał postawę skruszoną, jeżeli nie czuł skruczy?

Byłem tak dalece zatopionym w widoku tej osobliwszej postaci, iż wcale nie postrzegłem, jak nabożeństwo się zakończyło, a tłumy rozchodzić się zaczęły. Muzyka ucichła, duchowieństwo w swoich złocistych ornatach zniknęło; wesołe, światowe damy spieszyły przez marmurowe kolumnady do czekających na ulicy powozów. Wszystko oddaliło się, prócz

kilku kłęzących postaci u przybocznych kapliczek; a majestatyczny starzec, domyślając się po szeleście, iż ceremonia skończona, wyciągnął rękę ku jednemu ze swoich towarzyszy, i zabięrał się wyjść za innymi.

Byłże on rzeczywiście ciemnym? Nie, bynajmniej. To też i chód jego nie był wcale takim, jaki miewają ludzie, na których niebo tę ciężką próbę zesła. Ale dla czegoż nie śmiał on otworzyć oczu, dopóki w obrębie świątyni pańskiej się znajdował. Cóżbym był dał za to, gdybym się mógł był dowiedzieć historyi jego życia; gdyż miałem najmocniejsze przekonanie, iż ona coś nadzwyczajnego w sobie zawiera.

Wychodził on powoli z kościoła, prowadzony przez swego towarzysza. W kilku sekundach było zapewne już zapóźno, aby się czegoś odeń dowiedzieć; byłby zniknął z moich oczu bez śladu. Zatem postąpiłem coperędzej za nim, i nieco zbyt nagle ręką po ramieniu go uderzyłem.

Starzec wzdrygnął się na to dotknięcie, i obejrzał się.

Teraz oczy jego były szeroko rozwarłe, a co za oczy! Starość nie przyćmiła ich blasku, i zaledwie mogłem znieść to spojrzenie, jakie w tej chwili rzucił na mnie. Jeżeli zaś byłem zrazu zdziwionym, iż mój widok tak zacięty gniew w nim obudził; tedy mocniej jeszcze zdumiałem się, uważając, iż twarz jego nagle wcale inny wyraz przybrała. Wlepił we mnie wzrok bazyliuszka. Widocznie nie mógł ode mnie tego wzroku oderwać, podczas gdy na całym ciele drzał gwałtownie. Postąpiłem ku niemu bliżej, a on się nagle, jak przerażony cofnął, i gdyby nie jego towarzysz, który jeszcze dość wczesnie przyspieszył mu ku pomocy, byłby upadł na ziemię.

Nie pojmując, czém tak nadzwyczajne wzruszenie w starcu wywołać mogłem, poskoczyłem ratować go, gdy syn jego, jakim go później być poznałem, niechętnie mię odtrącił, i ręką za pas sięgnął, jakby się od dalszego nagabywania chciał ochronić.

Tymczasem pomnożyła się grupa nasza przybyciem trzeciego gościa, którego krzyk chwającego się starca zwał. Ten trzeci było jakiś możny pan włoski, nieco podeszłego już wieku, dumnego zachowania się, i ponurego wejrzenia. Podbiegł on ku starcowi, lecz nagle się zatrzymał, i miał odejść, gdy przypadkowo spotkał się z moim wzrokiem. Natenczas wdrygnął się także, a na twarzy jego dał się widzieć tenże sam przestrah, jakiego starzec obaczywszy mię doznał.

Zdumienie moje było teraz bez granic, i jak słup oniemiałem. Uczucia starca i tego nowego nieznanomego przeszły niejako na mnie. Nowoprzybyły odzyskał pierwszy przytomność umysłu, zbliżył się do starego goralu i gwałtownie go potrząsł. Starzec chciał mu się wydrzeć, lecz nadaremnie. Nieznajomy poszepnął mu słów kilka, których znaczenie o tyle mogłem odgadnąć, o ile szepcący przy tém na mnie ciągle poglądał. Stary Kalabryczyk przybrał postawę błagającą, na którą jednak niezajomy z dzikim gniewem w odpowiedź się obruszył, lecz starzec zawsze jeszcze prosząc za kolana go ścisnął.

„Stary, zabobonny gapiu!” — zawołał wreszcie niezajomy — „nie będę dalej słów z tobą trwonił. Rób co chcesz, ale strzeż się!” — Co rzekłszy, kopnął go silnie nogą, i odszedł. Sędziwy starzec padł uderzając głową o marmurową posadzkę, tak iż sobie skroń zranił. Wszakże w oka mgnieniu podniósł się z ziemi — w téjże chwili był i sztylet już w ręku, już miał się stary rzucić za niezajomym i zabić go nieochybnie, gdy wtém syn jego i przypadkowo przechodzący tamtędy kapłan powstrzymali go.

„*Maledixione!*” zawołał stary Kalabryczyk — „Onżeto mię uderzył, on! Zamorduję go, chociażby nawet u stóp ołtarza. Puść mię, Paolo! Na Boga! Musi zginać!”

„Uspokój się, ojczu!” ozwał się syn, mocując się ze starcem.

„Nie jesteś moim synem, jeśli mi w mojej zemście chcesz przeszkodzić!” — krzyknął starzec z wściekłością. „Nie widzisz téj krwi, i powstrzymujesz mię?”

„Miałżeby on w tym świętym przybytku ginać?” zapytał Paolo, czerwieniąc się z gniewu, który tłumił w sobie z trudnością.

„Nie — nie!” — odpowiedział stary zmienionym głosem. „Nie tu; chociażby to tylko słusznym było odwetem. Ale znajdę jeszcze sposób na niego; doniosę go sprawiedliwości, wyjawię wszystko, gdyby mię to nawet życie kosztować miało! Zginie z ręki kata; mam świadka.” — A mówiąc to, wskazał na mnie. Jam znowu do niego się przybliżył.

„Jeżeli masz uczynić jakie odkrycie, dotyczące kościoła świętego” — ozwał się obecny zakon-

nik — »tedy jestem gotów cię słuchać. Ale rozważ dobrze, czy będziesz w stanie poprzeć dowodami swoje skargę przeciw tak możnemu panu?»

Syn spojrział na ojca wzrokiem porozumienia, a ten nagle się uspokoił.

„Nic to, nic” — rzekł starzec — »rozważyłem to już; uderzył on mię wprawdzie, lecz niech mu to Bóg odpłaci.»

„Tymczasem kieska moja jest na wasze usługi” — rzekłem.

„I pan to mię chcesz wspierać, pan!” — odrzekł starzec, patrząc na mnie z podziwieniem.

„Tak jest, chcę wam służyć.”

„Dobrze, może też kiedy będę korzystał z przyrzeczenia pańskiego.”

„Ale zaczekajcie jeszcze, starcze” — rzekłem. „Radbym też wiedzieć, dla czegoście się tak mocno zlekli na mój widok?”

„Później się pan o tém dowiesz; teraz muszę odejść; jeszcze się zobaczymy.” — Poczém wyszedł spieszynym krokiem z kościoła.

„Kto jest ten stary?” zapytałem księdza.

„I ja też nie wiem tego” — odrzekł duchowny. — „Ale trzeba nań bacznie mieć oko.”

I skinął na służącego.

„A któż jest ten, co go uderzył?” — zapytałem następnie.

„Jest to jeden z najmożniejszej szlachty tutejszej, i gorliwy dobrodziej kościoła. — Nie spuszczaaj go z oka” — ozwał się dalej do sługi — »i powiedz siepaczom, aby na każdy krok jego uważali.»

„Jakże się nazywa ten dobrodziej” — zapytałem znowuż mnicha.

„Wybacz pan, ale nie mogę mu dalej służyć” — odpowiedział oziębłe, skłonił się z lekka, i odszedł.

Pełen ciekawości przechodziłem się jeszcze długo po najludniejszych ulicach miasta, chcąc napotkać starego Kalabryczyka, lecz nadaremnie.

\* \* \*

Tegoż samego dnia wieczorem, zwidzałem Kolosseum, i zamyśliwszy się nad dzisiejszą ranną przygodą, błąkałem się po labiryntowych korytarzach tego starożytnego cudu architektury. Idąc w towarzystwie mnicha, który małą rogową niósł latarkę, miałem przy jej bładawem świetle postrzegać niekiedy jakieś podejrzane postacie. Nic jednakże nie mówiąc, szedłem spokojnie dalej. Po wyjściu z tak nazwanego *vomitorio* stanęliśmy na schodach kolosalnego amfiteatru. Ołbrzymi ten budynek, opróżniony złocistym blaskiem księżycowego światła, wznosił się majestatycznie przed moim okiem.

Zatopiony w podziwianiu czarownicę przede mną sceny, ujrzałem nagle na zwaliskach jakąś postać nad sobą. Wprawdzie można było tylko głowę jej dowidzieć, lecz natychmiast całą ją poznałem. Był-



to stary Kalabryczyk, i zaraz też nań zawołałem. Ale zaledwie głos mój na ustach zabrzmiał, a już i stary zniknął. Opowiedziałem to mojemu duchownemu towarzyszowi, który mocno się tém przełakł, i do rychłego powrotu naglić mię zaczął, doradzając zarazem, aby ochrony straży u wnijsciu do ruiny zażądać. Przystałem na to, a zszedłszy po wielkich schodach, i minawszy arenę, przybyliśmy bez wszelkiego nagabania do wnijscia zwałisk.

Straż nikogo do środka nie wpuściła. Na żądanie nasze udała się z nami nazad do cyrku, a po daremnem szukaniu oświadczyła się z gotowością odprowadzić mię na powrót przez Forum. Nie przyjąłem tego oświadczenia, i wróciłem się samotną ulicą po prawej stronie.

Nie uszliśmy z moim towarzyszem kilkuset kroków, gdy dały się słyszeć zcicha zbliżające się kroki, i nim jeszcze obrócić się uspiąłem; pochwycono mię z tyłu za ramiona, i zarzucono mi zasłonę na oczy. Wszelkie moje usiłowania wydarcia się, były daremne, a po krótkim szamotaniu się, musiałem poddać się losowi.

„Nie rób hałasu!” — ozwał się głos dziki, po którym zaraz starego Kalabryczyka poznałem. — „Nic ci się złego nie stanie. Musisz pójść z nami, nie pytając się dokąd.”

Chcąc nie chcąc, dałem się uprowadzić. Szliśmy blisko pół godziny, ażeśmy daleko po za mury Rzymu wyszli. Potykałem się często, idąc po nierównym, dawnymi gruzami zasypnym gruncie. Po jakimś czasie uczułem świeży powiew wieczornego wiatru w otwartem polu, a przewodnicy moi postępowali bez najmniejszego szelestu po elastycznej murawie.

Nareszcie stanęliśmy. Zdjęto mi zasłonę z oczu i ujrzałem się pod łukiem starożytnego wodociągu, który szeroką chmurę cieniu, po jaśniejącej w księżycowym świetle dolinie rozścielał. Niedaleko od nas płonęło ognisko, którego czerwieniawe połyski wzdłuż ściany wodociągu igrały. Wokoło ogniska zgromadzone było tożsamo grono goral, które rano w kościele widziałem. Powitali moich przewodników, lecz do mnie ani słowa nie rzekli. Starszy Kalabryczyk, nazywający się Christofano, zażądał kieliszka wódki, który z uszanowaniem mi podał. Nie przyjąłem, lecz on koniecznie nalegał, abym wypił.

„Będzie to panu potrzebnem” — rzekł stary — „gdyż masz dziś w wieczór wiele do czynienia. Czyż myślisz może, że w tém trucizna? Więc patrz —” to rzekłszy, wypił duszkiem kieliszek.

Nie mogłem się więc wymówić.

„A teraz signor” — ozwał się stary dalej, prowadząc mię nieco na stronę — „czy nie mógłbym cię o wymienienie swego nazwiska prosić?”

Nie mając powodu kryć się z mojem nazwiskiem, powiedziałem mu je.

Stary mruknął zamyślony, a potem zapytał: „Czy nie miałeś pan jakiego krewnego, imieniem B...?”

„Nie.”

„Dziwna rzecz” — mruknął znowu, uśmiechając się szyderczo. „A przecież! Tak wielkie podobieństwo rzadko kiedy zupełnie zwodzi.”

„Jakie podobieństwo?” — zapytałem. „Do kogoż jestem podobnym? I cóż to wszystko znaczy?”

„Usłyszysz to signore” — odpowiedział starzec zmarszczywszy brwi — „pójdź ze mną tam w cień owej arkady, gdyż powieść moja obchodzi tylko ciebie samego.”

„Jest temu lat niemało” — zaczął mój sędziwy towarzysz, nieco się oddalwszy — „jak przybył do »miasta wieczystego» pewien Anglik, którego ujmująca powierzchowność do twojej, signor, była podobną. Należał on do najzamożniejszych cudzoziemców, jacy u nas zazwyczaj bawią, i wszyscy go też odpowiednio temu poważali. Ja byłem wówczas powiernym sługą margrabięgo di R. Służyłem jeszcze niegdyś u jego ojca, i piastowałem go na moich reku, kiedy jeszcze był dzieckiem. Mimo złego obejsia, jakiegom odeń doznawał, kochałem go tak serdecznie, jak teraz serdecznie go nienawidzę. Jeżeli mój młody panicz już w wczesnej młodości, rozpuszcie się oddawał, tedy czynił on to później, będąc mężczyną, w daleko wyższym jeszcze stopniu. Wkrótce po objęciu ojczystego majątku, ożenił się z młodą, majątną damą. Nie mogę wierzyć, aby miał być kochać swoją żonę, gdyż lubo zazdrosny o nią, ciągle się jej sam sprzeniewierzał, a ona to wiedziała. We Włoszech może obrażona mężatka łatwo w takim razie zemścić się, i nie bez tego zapewne, aby margrabinie to czasem na myśl było nie przyszło. Lecz jej małżonek uznał za dobre, usunąć się z miasta do swojej ustronnej wili, której też przez długi czas nie opuszczał. W tymto czasie przybył ów wspomniony przezemnie Anglik do Rzymu. Moja pani, która bardzo odosobniona żyła i uciech stolicy nie używała; przez długi czas wcale go nie widziała, lecz musiały ją przecież o nim pogłoski dochodzić, gdyż wszyscy sobie o Angliku jako o nadzwyczajnie pięknym i majątnym człowieku opowiadali. I margrabia też usłyszał o jego szczęściu u kobiet, a mam nawet powody domyślać się, iż piękny Anglik gdzieś panu mojemu bez wątpienia stał na przeszkodzie; przezco ten tém usilniej się starał, aby i samemu z nim się nie schodzić, i żonie swojej nie dać się z nim poznać. Ztémwszystkiem poznali się oni przecież, i to w bardzo niespodziany sposób. Równie jak teraz było i podówczas w zwyczaju, iż cały piękny świat w lecie na Piazza Navona się przejeżdżał. Pewnego wieczora wyjechała tamże i moja pani, nie



mając nikogo z sobą prócz mnie. Przypadkiem zatrzymał się nasz powóz właśnie obok powozu Anglika »

— „Margrabina była piękna, nieprawdaż?” — przerwałem starcowi opowiadanie.

„Bardzo piękna!” — odrzekł tenże — »a twój ziomek zdawał się także być tego zdania, bo cały wtedy w jej widoku się zanurzył. Nie rozumiem się na mowie spojrzeń, lecz spojrzenia jego były w istocie bardzo wymowne. Wpatrywał się nieustannie w moją panią. Z jej lic palających można było dostrzedz, iż lubo wzrok jej był schylony w ziemię, przecież, jak się zdało, czuła się chciwie być uważaną. Bawiła się ulubionym swym pieskiem, który był w powozie, i głaskała go rękawiczką, zdjętą z bieluchnej ręki. Piesek wydarł jej rękawiczkę, i za mocno wtył odskoczywszy, wypadł z powozu. Pani moja wskrzyknęła, a ja miałem go podjąć, gdy Anglik już mię uprzędził. W oka mgnieniu oddał margrabinie jej ulubieńca, któremu niebezpieczeństwo roztratowania końmi groziło, i otrzymał też za tę przysługę żywą podziękę. Od tej chwili zaczęła się znajomość, która dla obojga tak nieszczęśliwą być miała.»

— „Czyżes ją zdradził?” — zapytałem nieco niecierpliwie.

— „Byłem ślepym narzędziem margrabiego, i w istocie to uczyniłem. Doniosłem mu wszelkie okoliczności tego spotkania. Margrabia wysłuchał mię w milczeniu, ale pobladł śmiertelnie. Rozkazawszy mi z podwojoną uważać ich bacznością, pożegnał mię. Odtąd nie spuszczałem pani mej z oka, i zdarzyło się niebawem, iż margrabina pewnego wieczora z gitarą w ręku, z pieskiem u boku, po terasie ogrodowej się przechadzała. Uważałem ją z poblizka, niewidomie. Uderzyła kilka smutnych akordów na gitarze, poczem zdało się, jakby w jakieś miłe zapadła marzenia. Gdybyś ją był signore widział natenczas, byłbyś musiał przyznać, iż nie można było piękniejszej widzieć kobiety.

„Trwała przez kilka minut w tém zadumaniu, gdy oto nadbiegł piesek, niosąc znalezione rękawiczkę w zębach. Gdy ją margrabina pieskowi odebrała, wypadł list z rękawiczki. Gdyby wąż był z niej się wysliznął, nie mogłaby się była mocniej przestraszyć. Spojrzała na papier obrażona, lecz nie pewna, co czynić. Tak jest, była niepewną, a ta wątpliwość przywiodła ją do upadku. Schyliła się po list, i zdjęła go. Lica jej, które nagle pobielaly, znowuż przy czytaniu listu płomiennie się zrumieniły. Jeszcze wahała się, jeszcze niepewnie i trwożnie ku domowi spojrzała, a potem włożyła list za gors, i pobiegła ku altanie pomarańczowej.»

— „Tam zapewne czekał na nią kochanek?”

— „Tak jest. Widziałem, jak się powitali. Słyszałem jego namiętne przysięgi i błagania. Zaklinał

ją by z nim uciekła — nie chciała. Kochanek stawał się coraz śmielszym, ona wydała krzyk stłumiony, a jam tuż stanął przed nimi. Ale z szybkością myśli była też i pięść Anglika już mi na karku, szpada jego na mojej piersi, i gdyby nie błagalny głos margrabiny, jużbym był nie żył. Wszakże na jej prośby puścił mię Anglik. Zdało się, że już było po wszystkim, aż tu na krzyk margrabiny, który do innych jeszcze uszu doleciał, nadbiegł margrabia, pełen wścieklej żądzы pomstczenia swej obrażonej stawy. Ani myśląc do bliższych przystąpić objaśnień, rzucił się natychmiast ze szpadą w ręku na młodego Anglika, dawszy mi przełotem skinienie, abym uprowadził margrabinę. Szczęk oręży został przytłumiony krzykiem unoszonej przemie margrabiny, a gdym z nią do domu przybył, była bez przytomności. Poruczyłem ją staraniu pokojowych, a sam wróciłem do ogrodu. Tam zdybałem już margrabie samego, zwolna ku domowi idącego. Spojrzenia jego były ku ziemi spuszczone, szpada złamana. Domyśliłem się, co zaszło, i nie zbliżałem się do niego. Margrabia poszedł do swojej żony. Jaką oni wtedy rozmowę mieli, nikt nie wie, lecz można o tém wnosić ze skutków, jakie wnet nastąpiły. Jeszcze tej samej nocy opuściła margrabina dom męzowski, aby nigdy nie wrócić. Nazajutrz udałem się do ogrodu na terasę, gdzie moja pani ów bilet otrzymała. Ujrawszy leżącą tam jeszcze rękawiczkę, podjąłem ją i zaniósłem margrabiemu, wraz z dokładnem opowiedzeniem całej rzeczy. Pan mój wziął rękawiczkę i przysięgnął, iż póty się nie uspokoi, aż dopóki tej rękawiczki we krwi jej nie umoczy.»

— „I dotrzymałże przysięgi? — zapytałem ze zgrozą.

— „Wiele miesięcy upłynęło, zanim dopełnioną została. Zemsta Włocha jest powolną, lecz nieochybną. Na pozór udał margrabia, jakby zupełnie o swojej niewiernej żonie zapomniał. Zaprzyjaźnił się nawet z jej kochankiem, aby tém lepiej tajemno swoje ukryć zamiary. Tymczasem mijały tygodnie i miesiące, a margrabina powiła dziecko, owoc jej znajomości z Angikiem.»

— „Wielki Boże!” — wskrzyknąłem — „Byłżeto chłopiec czy dziewczyna?”

— „Chłopiec. Ale słuchaj mię do końca, signor. Opowiadanie moje już nie długie. Pewnego wieczora, w nieobecności Anglika, udaliśmy się do pałacu, w którym margrabina mieszkała. Szliśmy z jednego pokoju do drugiego, aż pókiśmy wreszcie do jej sypialni nie zaszli. Margrabina spała, a chłopczyna leżał tuż przy niej. Ten widok przywiódł margrabie do wściekłości. Byłby niezawodnie zamordował chłopczykę, lecz wstrzymałem mu rękę. Uspokoił się, i kazał mi drzwi zamknąć. Pótem przybliżył się do łoża. Usłyszałem szcześnie-



cie broni — i nagły wykrzyk. Jakaś biała postać zerwała się na łożu. W oka mgnieniu światło zagasło, padł jeden cios, i drugi, i było już po wszystkim. Otworzyłem drzwi. Margrabia wyszedł. Na korytarzu, przez któryśmy wracali, świecił księżyc przez okna. Pan mój trzymał rękawiczkę, z której krew ciekła. Przysięga jego była wprawdzie spełniona, lecz zemsta jeszcze niezupełna, bo Anglik żył jeszcze.”

— „I cóż się z nim stało?” zapytałem.

— „Nie pytaj mnie” — odrzekł starzec. „Byłeś dzisiaj w kościele Santa Maria Maggiore. Gdyby owe głazy mówić umiały, okropne rzeczy wyszłyby na jaw.”

— „I tóż było przyczyną, dla czegoś starcze, nie śmiał otworzyć oczu w świątyni? — strumień krwi spłynął między tobą a niebem.”

Starzec wstrząsł się, lecz nic nie odpowiedział.

„A toż dziecko?” — ozwał się po chwili — „Cóż się z niem stało?”

„Odesłano je do Anglii, do pewnego przyjaciela jego ojca. Jeżeli żyje, tedy jest ono teraz, signor, w twoim wieku.”

„Czy tak?” — rzekłem, a myśl okropna powstała w mej głowie.

„Po śmierci Anglika” — mówił dalej Christofano — „obchodził się margrabia ze mną z coraz większą podejrzliwością i niechęcią. Byłem mu ciężarem, i postanowił uwolnić się ode mnie. Oszczędziłem mu tej pracy, i opuściwszy Rzym, udałem się w Abruzzi, a ztamtąd do Kalabrii, gdzie zostałem — mniejsza oto, czém. Teraz wróciłem nazad, aby dopełnić zemsty gniewu bożego, i jeszcze dziś w nocy — zginie.”

„Dziś w nocy! Starcze! Starcze!” — powtórzyłem przerażony. „Nie obciążaj sumienia nową zbrodnią. Jeżeli margrabia rzeczywiście popełnił występki, o który go oskarzasz, tedy niech go ręka sprawiedliwości osądzi; tyś wyroku jej uprzedzać nie powinien.”

„Sprawiedliwości!” zawołał Christofano ze wzgardą.

„Tak jest, sprawiedliwości. Jesteś ubogim, lecz znajdują się jeszcze środki do wsparcia cię. Ja sam...”

„Tak, nie inaczej, ty mię sam wesprzesz; gdyż twojato ręka zada mu cios śmiertelny.”

„Moja! Przenigdy!”

„Postradasz własne życie, jeżeli się wzbraniać będziesz, a jego przecie od śmierci nie zbawisz. Na matkę boską klnę się: Zginie! i to z twej ręki! Nie wiem, kto jesteś; lecz dla mnie jesteś narzędziem zemsty, a cios twój będzie mu najsprawiedliwszym odwetem. Potem możesz, jeżeli zechcesz, i w moje serce ugodzić.”

Nim jeszcze odpowiedzieć zdołałem, przywołał starzec szych towarzyszków, i puściliśmy się corychlej w pochód przez pole.

Po niedługim czasie stanęliśmy u wysokiego muru. Stary góral zawiódł nas do tylniej fórtki, którą z łatwością otworzył. Weszliśmy do ogrodu pełnego drzew pomarańczowych, których miły zapach z wieczornem owiewał nas powietrzem. Zdała dochodził nas odgłos plusku wodotrysku. Księżyc wisiał jak promienista lampa nad wystawą rozkosznej wili. Minęliśmy terasę ogrodową, z której wskazał mi starzec otwartą w niewielkiej odległości altankę, i spojrzął na mnie wieleznaczącym wzrokiem, ale nie rzekł ani słowa. Odchylone okno wpuszcilo nas do środka domu. Ujrzelismy się w przedsonku, ozdobionym marmurowemi posagami. Przeszedłszy niedługi korytarz, wstąpiliśmy do obszernego przedpokoju. Christofano przyłożył palec do ust, dał swoim towarzyszom znak porozumienia, i zniknął. Nastąpiła grobowa cisza.

Po chwili wrócił.

„Spi” — rzekł do mnie zcicha, głosem grobowym. — „Spi, jak niegdyś ofiara jego spała, spokojnie i bez wyrzutów sumienia; lecz okropnie się za to przebudzi — przebudzi do rozpacz bez końca. Pójdź za mną, signor.”

Weszliśmy na palcach do sypialni. Zasuwał drzwi na rygiel. Odcbylił kotarę u łoża, a światło księżycowe padło na oblicze śpiącego. Sen jego był spokojny i pogodny, jakby żadna myśl złowroga, żadne czarne wspomnienie, nie mogły go były niepokoić. Miałoby winowajcze sumienie tak bezpiecznie spoczywać? Zacząłem teraz poniekąd powątpiewać w prawdziwość powieści starca.

Ustawiwszy nas w ciemniejszym zakątku komnaty, zbliżył się Christofano sam do łoża. Sztylet mu błysnął w ręce. „Wstawaj!” krzyknął starzec grzmiącym głosem.

Na to słowo, śpiący zerwał się w górę.

Uważałem bacznie twarz jego. Wyrozumiał on natychmiast zamiar starca, ale się nie zląkł.

„Nikczemniku!” — rzekł z pogardą — „Bezpieczną sobie porę wybrałeś, wkradając się o północy do mnie.”

„A ktoż mię tego nauczył?” — odpowiedział starzec z goryczą — „Czyżto ja pierwszy jestem, który cichy sen o północy przerywam? — Przypatrz się temu!” — to mówiąc, nadstawił mu w świetle księżycy, krwią zbroczoną rękawiczkę.

Margrabia ciężko westchnął.

„Włamałeś się do mego gabinetu!” zawołał wreszcie. — „Łotrze! Jakżeś śmiał to uczynić! Ale wiem przecież, z kim mam do czynienia!”

Po tych słowach wyskoczył z łoża, chcąc się bronić przeciw starcowi; jednakże Christofano umknął na stronę, a wtejęże chwili reszta bandytów wysunęła mię naprzód, abym pomagał starcowi. Tak, stanąłem naprzeciw margrabiemu.



Zjawisko samój zamordowanėj małżonki nie mogło być to mocniej przerazić. Struchlał.

»Przychodził on zemścić się?« — ozwał się margrabia po chwili.

»Tak jest« — rzekł Christofano, a potem zwracając się do towarzyszów — »Dajcie mu żelazo!« krzyknął, i podano mi sztylet. Ja dobyłem mały brylantowy krzyżyk z zanadru.

»Poznajesz pan to?« zapytał margrabiego.

»To krzyżyk mojej żony!« zawołał tenże zdumiony.

»On leżał owėj okropnej nocy na piersiach dziecięcia, śpiącego obok swėj matki« — rzekł Christofano.

»Tém dziecięciem byłem ja — zamordowana, była to moja matka!« zawołałem.

»A jój morderca stoi tuż przed tobą!« — krzyknął Christofano. »Uderz!«

Podniosłem sztylet. Margrabia ani się ruszył.

»Czy jeszcze zwlekaasz?« zawołał stary Kalabryjczyk z gniewem.

»Boi się!« — zawołał Paolo, syn jego. »Zarzucaliście mi dziś rano brak miłości synowskiej; patrzcież teraz, jak nim mścić się za ojca!« — to mówiąc ntopił sztylet w piersi margrabiego.

»Ale twój ojciec« — przemówił starzec okropnym głosem do mnie — »nie jest jeszcze zemszczonym. Ty sam tylko możesz tego dopełnić.

I nim jeszcze sztylet nazad wycofnąć mogłem, już sobie starzec serce nim przeszył.

Padł bez jęku.

## Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 46ty i zawiera: 1) O uprawie kukurudzy; 2) O zębach końskich i poznawaniu wieku koni; 3) Wrocyz pospolity (*Tenacelum vulgare*); 4) Kiedy szczepić owcom osę; 5) Nowy sposób odmładzania drzew owocowych; 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

*Dziennika mód paryżkich* pod redakcją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 24ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Skandal. Przez Kazimierza Wróblewskiego. (Dokończenie.) 2) Sonety dla Wandy. Przez K. Z. 3) Kozacy w Konstantynopolu.

Z Warszawy: *Biblijoteka warszawska* za miesiąc listopad zawiera: 1) Wyjątek z dzieła pod tytułem: *W Alpach i za Alpami*, przez Łucyję z książąt Giedroyców Rautenstrauch. 2) O przedsięwzięciu żeglugi parowej na Wiśle, przez F. Miaskowskiego. 3) *Obraz elekcyi króla Michała* (ks. Korybuta Wiśniowieckiego), przez X. J. Gackiego. 4) *Żywoty malarzy polskich*, przez Edw. barona Rastawieckiego. 5) O prawach miast polskich najdawniejszych, przez Wacł. Alex. Maciejewskiego. 6) O życiu i pracach naukowych Aleksandra Thisa, przez Winc. Majewskiego. 7) *Kronika literacka*. 8) *Rozmaitości*. 9) *Kronika zagraniczna*, — biblijograficzna. — *Doniesienia literackie*. — *Dostrzeżenia meteorologiczne*.

Konduktory piorunów i telegrafy elektryczne. Przed dwoma miesiącami uderzył piorun w Nowym-Jorku pomiędzy dwa konduktory, jakoby tém z cudownego odkrycia Franklinowskiego chciał zadzwic. Tameczny naturalista Merryan zajął się dokładnym zbadaniem tego przypadku, w celu przekonania się, czy wyprowadzone ztąd wnioski, skute-

czności konduktorów nie uwątpiwi? Wszakże badanie to zatwierdziło owszem najzupełniej ochrońcą się sztab metalowych. Wzmiankowane tu dwa konduktory były tylko na 2 — 3 cale w ziemię wpuszczone, podczas gdy przecież oddawna już potrzeby głębszego ich wkopywania doowiedziano. Prócz tego miały obadwa konduktory tylko 7 stóp wysokości, a ponieważ one, jak wiadomo, jedynie w dwa razy tak wielkiej rozległości, jaką jest ich wysokość, od piorunów chronią; przeto nie ma się co dziwić, iż piorun między dwa zbyt krótkie konduktory uderzył. A tak, cześć Franklina jest ocaloną. Na pociechę zaś wszystkich właścicieli domów, których budynki dobrni są zaopatrzone konduktorami, przywodzi pan Merryan następną statystyczną wiadomość. O ile z nrzędowych doniesień się okazuje, uderzył piorun w r. 1845, 63 razy w krajach Zjednoczonych Stanów, lecz ani razu nie tknął budynków zabezpieczonych konduktorami, lub okrętu wojennego. — Zarazem badał p. Merryan skutki pioruna na telegrafy elektryczne, i wylicza mianowicie 3 przypadki, z 18 maja, 2 i 4 czerwca r. b., gdzie piorun w stacyja telegrafu uderzył i maszyneryję poniszczył. Dawniej bywało bicie w dzwony w czas burzy niebezpieczne, i obliczoném w r. 1783, iż w przeciągu lat 35, piorun w 386 dzwonic uderzył i 121 dzwonników zabił. Odkąd konduktory zaprowadzono, znikło niebezpieczeństwo dla dzwonników, lecz nastało dla ludzi pracujących przy telegrafach elektrycznych, i dopoty nie minie, aż póki umiejtność środków zaradczych nie obmyśli. Ztémwzyskiem postępuje telegrafja elektryczna w Zjednoczonych Stanach z niesłychaną szybkością. Od kilku miesięcy wytknięto 5 linii telegraficznych między Albany i Buffalo, Nowym-Jorkiem i Bostonem, Nowym-Jorkiem i Albany, Nowym-Jorkiem i Washingtonem. W ogólności mają dziś telegrafy elektryczne w Zjednoczonych Stanach 1649 ang. mil długości, i są do wszelkich handlowych i prywatnych korespondencyj używane.

Osobliwszy proces w Warszawie, który od dwóch lat był w zawieszeniu, został teraz przez samego cesarza Mikołaja rozstrzygniętym. Pewien bogaty jenerał rosyjski starał się o rękę córki jednego z najmająniejszych obywateli w okolicy Warszawy, i otrzymawszy zezwolenie ojca, miał rzeczywiście z piękną kochanką się poślubić. Wszakże w dzień zaślubin przybył sam tylko pan młody z kapitanem i dwoma oficerami, z których pierwszy za popa szymatycznego, dwaj ostatni, za świadków przebrani byli. Ani panna młoda ani rodzice nie postrzeegli się, a tak święty obrządek został na pozór dopełnionym. We dwa lata później sprzykrzyła się jenerałowi młoda żona, kazał jój więc do rodziców powrócić, a wreszcie całą sprawę opowiedział jój bez ogródki. Zwiedziona małżonka miała to zrazu za żart złośliwy, lecz nieludzki jenerał przekonał ją wrótce o całej gorzkiej prawdzie swego postanowienia, i wygnął ją z domu. Nato wniosł ojciec skargę do sądu, lecz przegrał we wszystkich instancyjach, aż wreszcie wyrok do samego dostał się cesarza, a ten przeciwnie zawyrokował: Ponieważ jenerał nie był istotnie z swoją żoną poślubiony, przeto małżeństwo jest nieważne; za to jednak, iż on niegodziwym sposobem zwiódł swoją mniemaną żonę, skazuje go cesarz na wydalenie z służby ze stratą stopnia i płacy, i z obstrzeżeniem, aby nigdy do żadnej nowėj posady nie mógł być przypuszczonym. Cały jego majątek ma przyspaść niewiedzonej żonie, a on na zawsze bezżennym pozostanie.



Przebrany za popa kapitan, będzie przez całe życie popem, a obaj oficerowie dożywotnie djakami.

Cudowne przebudzenie się ze śmierci. W »Journal de Constantinople« czytamy ze Smyrny, pod dniem 2. października: »Przeszłej soboty zdarzył się tu wypadek, na który zapewne niejedyn członek fakultetu medycznego uśmiecha się, a który przecież wszyscy tutaj poświadczyć mogą. Kilku Greków płynęło łodzią z pobliskiego Burnabad do Smyrny, a podpiszy sobie w drodze, przyszło im na myśl, wrzucić żartem jednego zpomiedzy siebie w morze. Jakoż w istocie porwało czterech najrozpuśniejszych, piątego, i wtrąciło go w wodę, gdzie on po chwili bez śladu zniknął. Na to jeden, przestraszony tym wypadkiem, skacze za tamtym w morze, lecz także nie wraca więcej. Toż samo czyni trzeci, spieszący w pomoc obudwom, i majuż również zatonać, lecz zbiera jeszcze sił tyle, iż się chwycił dorzuczonego mu z łódki powrozu, i w ten sposób się ocala. Na szczęście podczas największego smutku wyrzézwiionych tém żeglarzy, zjawia się przypadkowie jeden z najlepszych nurków smyrnenskich, i ledwie o całém zdarzeniu zawiadomiony, rzuca się coprzédz w morze, i wnet drugiego zatoniętego z głębi wyciąga. Lecz pierwszy zawsze jeszcze był w wodzie: strawiono półtóry godziny nadaremnie szukaniem; dopiero po upływie tego czasu, znalazł go nurk w znacznej odległości, w głębi morza, widocznie uduszonego, i wszelkie znamiona śmierci okazujące. Rozgłoszono już, że nie żyje, imiano go już nawet pogrzebać, gdy wybawca jego corychciej oliwy z popiołem ugotować każe, tę wrzącą mieszaninę na brzuch martwemu kładzie, i silnie nacierać go zaczyna. Po niedługim czasie to tarcie oliwą z popiołem, sprawia tak pomyślny skutek, iż mniemany topielec, zwolna do życia przychodzi, oczy otwiera, i zgromadzoną na swój pogrzeb rodzinę poznaje. Obecnie jest on zupełnie uzdrowiony.

Miasto Paryż spożywa w 1 roku: 576.000 kocy mąki, 180.000 hektolitrow suszonych jarzyn, 774.875 hektol. kartofli, 77.542 wołów, 20.954 krów, 83.252 cieląt, 459.470 baranów, 120 milionów jaj, 5 milionów kilom. masła, 4 mil. kilom. séra, 12 mil. kilom. ryb morskich, 7 mil. tuzinów ostryg, 931.000 gołębi, 147.000 kaczek, 1.289.000 kur, 177.000 krulików, 29.000 zajęcy, 251.000 kapłonów, 549.000 indyków, 328.000 gęsi, 154.000 kuropatew, 500.000 koszów winogron, 292.000 wozów i ładunków okrętowych wszelkich owców.

Anioł dobroczynności. Dnia 22 września pogrzebano w Larnaca, na wyspie Cypros, pobożną w Lyonie urodzoną siostrę miłosierdzia imieniem Maryja Filomena, której litościwość i nieprzebrana dobroczynność, w całej Małej Azji sławę świętości jej pozyskały. Pełniwszy przez 4 lata w Algeryi a 2 lata w Aleksandryi dobrowolną i bezpłatną w szpitalach służbę; została Filomena w r. 1840 do Larnaca wysłaną, gdzie prócz innych ubogim świadczonych usług, sama jedna około 6000 chorych pielęgnowała. Powszechnie spóóczucie, jakie jej zhytniem nateżeniem spowodzona śmierć, w całym kraju wzbudziła; było

tak wielkie, iż wszystkie konsulaty europejskie, wszyscy znakomisi mieszkańce i niezliczone tłumy greckiej i tureckiej ludności, — Fakiry i Szamony, choć to fanatycy zaciekli — dobrowolnie przecież z pochodem pogrzebowym się połączyli. Ciało jej pogrzebano na placu, na którym wkrótce kościół i szpital siostr miłosierdzia ma być stawiany, a w domu konsulatu francuzkiego utworzono subskrypcyję w celu uczczenia jej pomnikiem.

Wzajemne oddziaływanie zmysłów. Dzielnie jest, jak nieraz zmysły wzroku i smaku do siebie się odnoszą, i wzajemnie się uzupełniają. Ludzie palący tytoń, rzadko kiedy poznać umią po ciemku, czy fajka jeszcze się pali, lub nie; pijący wino, są w ciemności mniej niż zwykle, zdolni rozzeznac smakiem gatunek wina. W jeszcze bliższym stosunku wzajemnym zostaje smak z powonieniem. Ztąd też wynika wspólna zazwyczaj odraza lub skłonność tych zmysłów do pewnych jadalnych przedmiotów; i tak np. Bengalczykom i Syjamezom, którzy stęchłe jaja z największą pożywiają przyjemnością, zapach jaj takich, wcale wstrętnym się nie wydaje, podczas gdy u innych, sam zapach potrawy, która przeciwną jest żóładkowi, największą sprawia odrazę.

Trzech śmiałków. Pułkownik Maceroni, były adjutant Joachima Murata, opowiada w swoich pamiętnikach następującą zapamiętałą wyprawę na sam szczyt kościoła św. Piotra w Rzymie: »W około kopuły św. Piotra — mówi pułkownik — »ciągnie się gzyms dość szeroki, a ja i Rochów, straszylimy w żarcie naszych kolegów Landou i Tretre, skacząc poprzez próżne, filarami utworzone odstępy w gzymsie. Dostawszy się na wieżyczkę tak zwanej Latarni, na której kula z krzyżem się wznosi; wyleźliśmy po małej żelaznej drabince na wieżach kuli, i stanęliśmy na niej. Francuzi ustawili tam byli konduktor, wznoszący się o jakich dziesięć stóp powyżej krzyża, i grubemi śrubami przymocowany. Za pomocą tego konduktora, ze dwa cali grubości mającego, wydrapaliśmy się na wieżach krzyża, a ja spiałem się jeszcze na sam szczyt konduktora, przezco głowa moja przynajmniej o łokieć wyżej nad jego złotą strzałą sterczała. Dość silnie powiewający wiatr, chwiał rzeczywście w okropny dla patrzających z dołu sposób, mójem ciałem, podczas gdy Hulmantle, Landou i Rochow, pode mną na ramionach krzyża stali. Wszyscy trzej postanowili pójść za moim przykładem, i w istocie téż tak uczynili; poczem przymocowaliśmy drutem u szczytu konduktora, małą okrągłą tabliczkę, na której nasze imiona wryte były, i szeroka, około 6 łokci długości mająca wstęga. Widok tego niezwyčajnego czynu zgromadził tłumy ciekawych na wielkim placu przed kościołem, a najwyższy nadzorca kościoła, uroił sobie, iż w tém jakimś zdrada być musi. Długa wstęga zdała mu się być znakiem dla nieprzyjacielskich okrętów, któreby u wybrzeży stać były mogły. Zaczem posłał natychmiast po policyę, a gdyśmy znów na dół zleźli, ujrzeliśmy kilku żołnierzy z hagnetami u drzwi kościoła, Potrzeba było wielkiej wymowy z naszej strony, ażeśmy im wytłumaczyli, iż to wszystko tylko próbka naszej śmiałości być miało.«